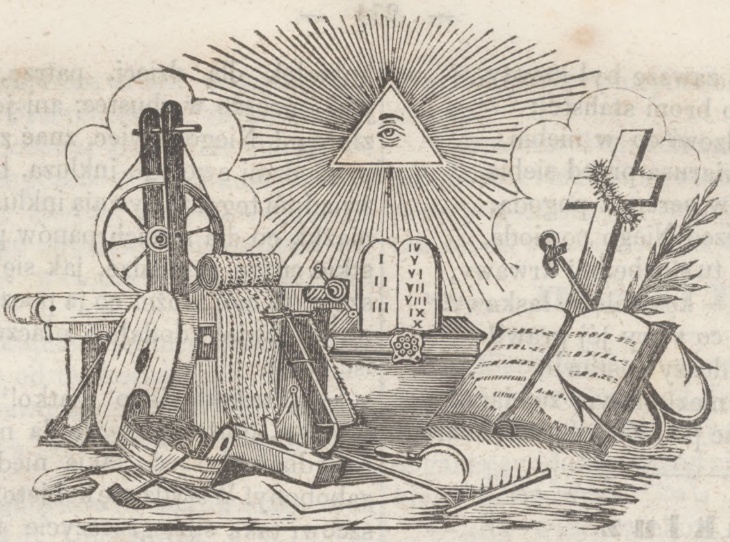
№ 35.

Warszawa

Dnia 19(31) Sierpnia 1856.

Niedziela

16ta PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80 półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Strzeż, prosimy cię Panie! kościoła Twego zmiłowaniem wieczném; a iż bez Ciebie do upadku skłonni jesteśmy, niech Twa łaska i od szkodliwych rzeczy nas odwodzi, i do zbawiennych nas wzbudza (Modlitwa kościelna na niedzielę 15 po Świątkach).

Stary wiarus

(Obrazek).

—

Żył sobie przed laty staruszek uczciwy,
Choć miał lat sto blisko, był czerstwy i żywy,
A pamięć miał taką niezwodną i świeżą,
Że mógł grać o lepszą z dzisiejszą młodzieżą.
Miał o czem też prawić, bo i któż nie prawi,
Gdy więcéj półwieku wojaczką się bawi?
Więc lubił gawędzić, a wtedy najszczeréj,
Kiedy go otoczył rój rzeźkiéj młodzieży.
Bo stary pamiętał, że w Piśmie rzeczono
Jak Chrystus nauczał i kochał to grono.
I młodzi lubili staruszka gawędy,
I lgnęli do niego, i za nim szli wszędy,
Bo słodki był stary:— w kieszeniach łakocie,
A w uściech nauka, i powiastek krocie.
Raz tedy, w niedzielę do dzieci tak prawi:
—„No! moje chłopaki! kiedyście ciekawi,
Dlaczego-m choć stary, a wesół i żwawy,
Opowiem żywota mojego wam sprawy:
Od młodu Pan Jezus i Panna Najświętsza
Byli mi opieką,— gdyż byłem sierotą,
A Oni—to radość, pociecha najprędsza;
Kto się Im poleci, pomogą z ochotą!
Toć byłem za morzem, a dawno, oj dawno!
Gdzie mieliśmy wojnę i głośną i sławną,
A Jezus i Marya, wśród bitwy, pożary,
Strzegli mię swą łaską:— boć żyję, choć stary!
Pomarli ci dawno, co ze mną tam byli!“
Tu stary łzę otarł, śmieje się, a kwili,
A kiedy ciekawa gorliwa ta rzesza,
Staruszka, jak może, pieszczotą pociesza,
Znów stary łzę otarł rękawem sukmany,
I rzecze:—„Tak, młody mój ludku kochany!
Pan Jezus i Marya—to Ojciec i Matka,
My wszyscy Ich dzieci, wierna Ich czeladka!
Jam w życiu Im służył i wiernie i szczerze,
Był ciałem i duszą oddany i czysty,
O cześć Ich gorliwy,—a zawsze służbisty,
I oto nagrodę dziś służba ma bierze.
Zsiwiałem, jak gołąb, żyłem już dowoli,
A w sercu mém spokój, — i nic mię nie boli,
Mam czerstwość i zdrowie, i pamięć i siłę,
I choć-em ubogi,—ubóstwo to miłe:
Bo jeszcze to datkiem, to radą, to słowem,
Biedniejszych od siebie podeprzeć gotowem.
A jako to ongi bywało:—jam młody,
Do boju, na musztrę stawiał się najprzódy,

A mundur i oręż mój zawsze był czysty,
I dłoń też ochotna do broni stalistéj;
Tak i dziś, jeżeli wodzowi co w niebie,
Podoba się wezwać wiarusa przed siebie,
To stanę, na czole i w sercu z pogodą,
Bo tam mię Anieli przed Niego powiodą,
A Pan mię za długą tu służbę, bój krwawy,
Da kącik przy sobie, — kęs chleba łaskawy!"
Słuchała to dziatwa, co stary jéj prawił
I ziarno nauki w jéj duszy zostawił;
A pierś jéj zawrzała niezłomnym zamiarem,
Tak z życiem wojować pod Zbawcy sztandarem.

Inkluz.

—

Pan Unrulewicz, obywatel z Senatorskiéj ulicy w Warszawie, wielki miłośnik ludu, lubi częstokroć wglądać w sprawy jego, i badać z szczególném upodobaniem i troskliwością jego życie. Raz w niedzielę, wyszedłszy z swego mieszkania bardzo rano, spotkał na drodze, idąc ku Żelaznéj Bramie, wieśniaczkę, rzewnie śród płaczu wyrzekającą.

Ciekawy powodu jéj zmartwienia, przystanął:

—„Czego to płaczecie Matko, zapytał, czy wam się co złego stało?"

— „O mój panie! odpowiedziała, wszystkie prawie utargowane dzisiaj pieniądze straciłam."

—„A to jakim sposobem?"

—„O! mój panie! odpowiedziała ciągle płacząc, oszukano mnie niegodziwie; jakiemiś czarami pieniądze mi wydarł."

—„Kto je wam wydarł, biedna kobieto?"

—„Juści nie kto, jeno ten starozakonny, który odemnie 12 kurcząt kupił, com je przyniosła oto w tym koszyku na sprzedaż."

—„Jakto," zapytał znowu p. Unrulewicz, gwałtem je wydarł?"

—„Nie, proszę pana; wiem już co się to święci, ale porno-ta Bogu! (*) już się stało. Nie wydarł-ci on z ręki pieniędzy, ale je wszystkie przywabił do siebie nieczystą mocą z roga chustki, gdziem je miała zawiązane."

—„Nie rozumiem was, moja kobieto!"

—„Oto tak było, mój panie! Starozakonny kupił odemnie dzisiaj 12 kurcząt i zapłacił mi za nie 10 złotych, a widziałam, jak mi odliczył; jam je zawiązała w téj chustce, a teraz, kiedym chciała sobie kupić parę funtów soli i kilka kukiełek dla dzieci, patrzę, aż tu same trojaki i grosze w chustce; ani jednego srebrnego złotego! Niegodziwiec, znać zmieszał z mojemi pieniędzmi swojego inkluza, boć to pewnie pan świadom tego, że bywają inkluzy, to jest takie pieniążki, co dla swoich panów przywabiają wszystkie cudze pieniądze, jak się tylko z niemi zmieszają. O mój Boże! co ja pocznę teraz, co to mój na to powie!" dodała z płaczem, i zabierała się iść daléj.

—„Poczekajcieno matko!" zawoła p. Unrulewicz; „może się to złe da naprawić. Przykro to jednak słyszeć takie niedorzeczności, takie zabobony! Wstydź się kobieto! przypisywać kruszcowi taką siłę; grzeszycie mocno przed Panem Bogiem, wierząc temu, bo Bóg tylko ma moc niewidzialną, a nie tak marne rzeczy, o jakich mi prawicie. Oto lepiéj zaprowadźcie mnie w to miejsce, gdzieście kurczęta sprzedali."

—„O! mój panie, już to-ta trudno będzie coś począć, gdzie się nieczysta moc wdała," rzekła z pewném jeszcze niedowierzaniem, pokiwując głową wieśniaczka, i poszła wraz z swym obrońcą ku Żelaznéj-Bramie.

P. Unrulewicz zamyśliwszy się, nic nie odpowiedział, a spotkawszy przypadkiem swego przyjaciela, zagadnął do niego:

—„Mój panie Stanisławie! odżałuj dla mnie kilku kroków, i pójdź ze mną dopomódz téj pokrzywdzonéj kobiecie." — Ten zgodził się na to chętnie, i poszli razem.

Za wskazaniem przez kobietę sklepiku w Gościnnym-dworze, pan Unrulewicz zapytał handlarza:

—„Wszak od téj kobiety przed chwilą kupiłeś kurczęta?"

— Uchowaj Boże! odpowiedział zapytany, ja żadnych kurcząt dziś nie kupowałem.

—„*Jako-żywo*!" przerwała wieśniaczka „ten sam rudy mój Panoczku, kupił je odemnie; Bóg widzi, że szczerną prawdę mówię."

—„A kiedy się jeszcze zapierasz," rzekł pan Unrulewicz, „to gorzéj dla ciebie; zaraz się tu prawda na jaw pokaże", — i pomówił po francuzku z panem Stanisławem. Ten wyszedł, a P. Unrulewicz z wieśniaczką pozostał w sklepiku, śledząc bacznie poruszenia handlarza.

Po chwili P. Stanisław wrócił z dozorcą cyrkułowym. Ten objaśniony o co rzecz idzie na

(*) Wyrażenie ludu téj myśli: dziéj się wola Boża!

żądanie Pana Unrulewicza zrobił naprędce rewizyą w sklepiku. Przerzuciwszy różną starzyznę, różne graty, dozorca znalazł w alkierzyku kurczęta, przykryte przewróconym koszykiem.

„Cóż-to jest?“, zapytał surowo handlarza. Zmieszanie się jego chwilowe potwierdziło zeznanie kobiety; ale wkrótce opamiętawszy się, rzekł śmiało:

—Te kurczęta kupiłem jeszcze przed szabasem, ale wcale nie od téj kobiety.

— „Jakto!“ zawołała „toć kum Marcin i jego żona są żywi, co widzieli, jakèm je wam dziś przedała.“

—„A, czy moglibyście tu sprowadzić tych świadków? zapytał P. Unrulewicz.

—„Toć tu niedaleko stoją ich fury, mój Panie,“ rzekła, „zaraz tu przyjdą.“

„Więc próżne twoje wybiegi,“ rzekł dozorca, „pójdziesz do cyrkułu, tam się wytłumaczysz przy świadkach.“

—No, po co ja mam iść do cyrkułu? wyjęknął przestraszony izraelita; przyznaję się, prawda, moi panowie, kupiłem te kurczęta od téj kobiety, ale cóż z tego? ja jéj rzetelnie zapłacił.

—„Otóż tak nie jest,“ rzekł P. Unrulewicz, tę kobietę oszukałeś: zamiast srebra nadawałeś jéj trojaków, lub też zręcznie wsypałeś jéj inne pieniądze; a skoro się już pierwsze twoje kłamstwo, co do kupna kurcząt, wydało, to już wskazuje twoje oszustwo. Oddaj więc jéj pieniądze, bo cię większa spotka kara.“

Tymczasem też wieśniaczka przybyła ze świadkami. Handlarz jeszcze się upierał przy swojem, ale widząc, iż dozorca już go za rękę uchwycił, aby go zaprowadzić do cyrkułu, przestraszony większą karą za oszustwo, które się już widocznem stało, zmiękczał, przyznał się, że kobiecie zręcznie wsypał do chustki inne pieniądze, a dopłaciwszy reszty prosił o przebaczenie.

Uradowana wieśniaczka z rozrzewnieniem dziękowała panu Unrulewiczowi, uścisnąwszy go zwyczajem wiejskim za nogi.

—„No, idź z Bogiem, moja kobieto,“ rzekł tenże, „a na drugi raz nie wierz w inkluzy, ani w czary, bo tylko źli ludzie zręcznością lub przebiegłością swoją nabawiają was często biedy, lub nieszczęścia, czego wy wytłumaczyć sobie zaraz nie mogąc, wdajecie się w zabobony, przypisujecie to czarom, jakiéjś nieczystéj sile, lub złym duchom, które tylko wasza nieświadomość wymyśliła. Pamiętaj wreszcie, że tylko Pan Bóg jeden niepodobne rzeczy zrobić jest mocen.“

Ucieszona i przekonana o niedorzeczności zabobonów i inkluzów, wieśniaczka odeszła, nakupiwszy potrzebnych rzeczy do domu, a handlarza zabrał z sobą dozorca do cyrkułu.

Deszcz i Tęcza.

—„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! zawołał skurczony pod dużym niebieskim parasolem, pan Antoni, majster mězkiego obuwia, doganiając idącego przed nim, nawpół przemokłego bernardyna.

—„Na wieki wieków, odparł zakonnik.— A zkąd to Bóg prowadzi? dodał po chwili, spojrzawszy mimo woli na szerokie skrzydła parasola.

—„Z Raszyna od krewniaka żony, mój Dobrodzieju! — Może pozwolicie sobie służyć parasolem, bo wam lepiéj, a mnie przyjemniéj będzie pogawędzić przez drogę, kiedy tak ciemno i chmurno na niebie.

—„I owszem, i owszem, odparł śpiesznie zakonnik, przyjmuję chętnie waszę grzeczność.

—„A więc idziemy razem, dodał Antoni, osłaniając starannie swego towarzysza.

Zaledwie uszli kilka kroków, aż tu dobry deszcz zamienił się w gwałtowną ulewę — nasi pódróżni zmuszeni byli szukać schronienia pod rozłożystemi konarami stojącego przy drodze drzewa.

—„Cóż to za dziwna temi dniami pogoda, mówił nasz pan majster, przed chwilą jeszcze niebo było tak jasne i czyste, a teraz taka ulewa. Chociaż, co prawda, słońce już od południa mocno dogrzewało.

—„Nic w tem dziwnego, mówił zakonnik; widzieliście zapewne nieraz, że woda w gorąco prędzéj wysycha, co pochodzi ztąd, że cząsteczki jéj łatwiéj rozpuszczają się w gorącem niż zimnem powietrzu, które nasycone tąż wodą i ogrzane ciepłem słońca, podnosi się do góry. Tam z tak nagromadzonego wilgotnego powietrza, zaczyna się wydzielać mnóstwo, najprzód drobniuchnych, w kształcie chmury pojawiających się kropelek, które łącząc się w coraz większe krople, spadają na ziemię, i tworzą deszcz.

—„A powiedzcie mi też, Dobrodzieju, dlaczego przed wielką ulewą, powietrze bywa par-

ne i ciężkie, a po deszczu zwykle następuje chłód?

—„Zwykle to, panie! powiedział zakonnik, przed wielkim deszczem bywa parno, dlatego, że cząsteczki pary wodnéj, rozpuszczone w powietrzu, łączą się z sobą i oddają swe ciepło, przez co powietrze staje się gorącém, a połączone krople tworzą te ciemne ponad nami chmury i ulewę. Przeciwnie zaś spadła z deszczem woda, wysychając, paruje, i zabiera z sobą ciepło z otaczającego powietrza, ztąd to po deszczu powstaje chłód.

Wiedzą o tem majtkowie na okrętach, bo w czasie wielkich upałów, dla zachowania naczyń z wodą i innemi napojami od skwaru słońca, obwijają je w mokre żagle, przez co woda z tychże żagli schnąc, zamienia się na parę, zabiera ciepło z naczyń, a przez to ochładza znajdujące się w nich trunki. Dla téjże samej przyczyny w krajach gorących w czasie wielkiego upału polewają stancye i ulice wodą.

Wiedząc o podobnych własnościach parowania i skraplania się wody, łatwo pojąć możemy chłodniejsze lato, łagodniejszą zimę, w Anglii i innych krajach nadmorskich. Tam bowiem w lecie masa otaczających wód parując, zabiera ciepło i chłodzi powietrze; przeciwnie zaś w zimie, nagromadzone pary, zmieniając się w krople wody, oddają ciepło atmosferze, a tém samem łagodzą mrozy.

—„Dziękuję wam ślicznie Dobrodzieju! żeście mi tyle w głowę nakładli; ale już i deszcz mniejszy, a komu w drogę, to i czas, rzekł pan Antoni, i obaj w dalszą puścili się podróż. W parę minut deszcz ustał, i cudownéj piękności tęcza roztoczyła się przed nimi na niebie. Zachwycony jéj widokiem Antoni, odezwał się znowu do towarzysza.

—„A nie powiecie mi też jegomościulku, łaskawy! z czego to wielki Bóg tak piękną zrobił nam tęczę?

—„Ze światła panie, i z niczego więcéj. Jest ona bowiem ukośnem odbiciem się promieni słońca, które świecąc poza nami, odbijają się w kropelkach zawieszonych przed naszemi oczami w powietrzu, i tworzą tę różnobarwną tęczę.

—„A ta druga bledsza zkąd się bierze, Dobrodzieju? zapytał znowu pan Antoni.

—„Ta druga jest tylko odbiciem promieni pierwszéj i dlatego kolory jej są słabsze, i w przeciwnym idą porządku, bo jak w pierwszéj zaczynając od dołu, rozeznajemy najprzód kolor fioletowy, następnie niebieski, błękitny, zielony, żółty, pomarańczowy i czerwony, tak w drugiéj na odwrót, zaczyna się od czerwoności, a kończy na fioletowéj barwie.

—„Wszakże to Bóg po potopie dopiero zrobił tę tęczę, na znak, że już nigdy świata wodą nie zagubi? mówił Antoni.

„W istocie, odpowiedział zakonnik, Bóg przyrzekłszy Noemu, że już nas więcéj potopem karać nie będzie, wskazał na tęczę, jako na znak przymierza z ziemią. Ztąd jednak nie należy sądzić, aby ona i przed potopem nie istniała, bo od chwili, gdy Bóg stworzył światło, i nadał mu własność odbijania się i łamania, tęcza zawsze mogła się pokazywać na niebie, przed lub po deszczu, wtenczas, gdy promienie słońca łamiąc się i odbijając od wód w chmurach znajdujących się, tworzyć ją musiały.

—„Bóg wam zapłać, Dobrodzieju kochany, za tyle wiadomości. Człowiek radby z duszy nauczyć się czegoś pożytecznego; cóż kiedy przed pracą i starunkiem o chleb nie staje mu na to czasu?

—„Czytajcie, mój Panie, Czytelnię niedzielną, wszak to nie wymaga długiego czasu. Moglibyście nawet z czeladką waszą zebrać się co niedziela po obiedzie i odczytać każdy numer tego pisma, a znajdziecie tam wiele pożytecznych wiadomości, i przyuczycie czeladź do odpoczywania raczéj nad użyteczną książką, niż na pijatyce, bilardach i hulance.

To wyrzekłszy, zatrzymał się na chwilę przy wydeptanéj od szosy ścieżce, i podając rękę panu Antoniemu, rzekł do niego:

—„Teraz niech Bóg prowadzi was szczęśliwie, bo ja spieszę daléj.

To wyrzekłszy, poszedł w swą drogę; a pan Antoni wróciwszy szczęśliwie do swego mieszkania na Podwalu, nie omieszkał opowiedzieć swoim czeladnikom i chłopcom, czego się nauczył od tego poczciwego zakonnika.

Sklep z jabłkami.

Pewien ubogi człowiek mając proces w Warszawie o kilkanaście tysięcy, przybył na oznaczony termin sprawy w nadziei pomyślnego jéj ukończenia; lecz los mu nie dopisał, i nietyl-

ko że przegrał, ale jeszcze stracił wszystko na podróż, co posiadał.

Nie mając przyjaciół, znajomych, gdy został bez grosza, przyszedł do tego stopnia, że już nie miał za co kupić kawałka chleba na śniadanie. Wyszedł głodny na ulicę, nie wiedząc gdzie i czego szukać. Przechodząc koło kościoła Paulinów, usłyszał dzwonek, zwiastujący wyjście Mszy świętej. Modlitwa, ta jedyna pocieszycielka strapionych stała się potrzebną sercu ubogiego. Wszedł do kościoła, i upadłszy na kolana, modlił się z prawdziwą pobożnością, a po ukończoném nabożeństwie,wyszedł z kościoła, ale świat długi i szeroki, a tu głodno i chłodno.

Westchnął więc głęboko,— a wtem jakiś nieznajomy zbliżył się do niego— bo szczera i gorąca modlitwa owego biedaka, którego widział w kościele, zwróciła jego uwagę. Dowiedziawszy się o smutnem położeniu ubogiego człowieka, ów nieznajomy chciał mu dać talara.

„Nie, dziękuję ci panie! choć biedny jestem, ale żebrakiém być nie chcę, a byłoby to jałmużnę brać od ciebie a nie mieć czem oddać potem.

—To ci pożyczę, dobry człowieku, tego talara, a jak się dorobisz, to mi go oddasz.

—Tak, to dobrze, łaskawy mój dobroczyńco!—a tymczasem niech ci Bóg twą dobroć zapłaci.

Kto walczył z głodem i nędzą, ten łatwo pojmie radość biednego człowieka; talar ów wydał mu się skarbem. Pierwszą potrzebę zaspokoił, i kupił śniadanie, a za resztę pieniędzy kosz jabłek, któremi zaczął handlować.

Chociaż początek tak był mały, ale Bóg mu w tem pobłogosławił. Zacząwszy od jednego kosza jabłek, przyszedł do dobrego bytu, i dziś ma skład z owocami; lecz i przy dostatkach, nie zapomniał on o dawnéj nędzy, i prawie o cudownym początku swojego handlu. Oddał on dług pieniężny swemu dobroczyńcy, a zostawił na zawsze w sercu dług wdzięczności, i zwykł powtarzać: Bóg tylko jest ucieczką naszą; a modlitwa pokrzepia upadającą nadzieję, i niesie niespodzianą pomoc człowiekowi.

Historya o kowalu Matjasku

i jako ten za dopuszczeniem Pana Boga ukarany został za bardzo wielką pychę.

—

Onego czasu, kiedy Czersk był jeszcze potężnem miastem, a Warszawa małą mieściną, na drodze z Czerska do Warszawy stała wielka kuźnia, a w niéj mieszkał kowal, któremu miano było Matjasek.— Matjasek był to sobie majster całą gębą, taki, jakich teraz ani poświeć.—Szeroki w plecach, krzepki w barkach, obrośnięty jak niedźwiedź, czarny jak cygan, a taki zuch do młota, że jak na kowadle palnął po sztabie żelaznéj, to się bez ognia spłaszczyła niby blacha, a taki silny w ręku, że bez obcęgów najtęższe gwoździe i haki wyrywał z drzewa i muru, a taki osadny w piersiach, że jak dmuchnął na węgle, to się obyło bez miecha, i żelazo rozpalało się do czerwoności.

Nikt nie wiedział, zkąd Matjasek przybył na Mazury, bo to był sobie człek wędrowny; a że przyniósł z sobą grosza, to obrał plac przy drodze, i wybudował tam ową kuźnię, która była dziwowiskiem dla ludzi, tak wszystko pięknie i dogodnie tam było urządzone.— A nie było co mówić,Matjasek dobre sobie obrał miejsce,i widno że nietylko miał ręce zdrowe do pracy, ale i sens wielki w głowie, bo na téj drodze mnóstwo ludu zbrojnego uwijało się co chwila, przejazd był ciągły,gdyż wCzersku mieszkał potężny książę, który utrzymywał dużo rycerstwa, i dużo przyjmował w gościnę.

A jak któremu po drodze szkoda się jaka zrobiła, to podkowa spadła koniowi, to kółko, albo gwóźdź jaki w zbroi się obluzował, albo żelazko wyszczerbiło się w włóczni, to zajeżdżał zaraz do Matjaska, bo on był znany i sławny na całą okolicę, a nietylko w kowalskiéj, ale i w płatnerskiéj robocie, to jest w robieniu broni, doskonały.

Więc Matjasek miał zawsze wielu gości i roboty po uszy, bo jedni go drugim zalecali. — A czeladź z dalekich stron schodziła się do niego na naukę, bo słynął na caluteńką okolicę, ba, nawet na kraj cały. I chociaż tylu miał pomocników i czeladzi, to jednak nie mógł nadążyć z robotą, bo kiedy bywało czasem wojsko książęce szło na wyprawę, albo wracało z wojny, albo fest jaki w zamku się odbywał, to przed kuźnią Matjaska widziałeś czysty jarmark, tak

się to tam wszystko do niego cisnęło z robotą, i płacili mu słono, bo było za co.

Więc Matjasek, jako był człek zarozumiały, i wiele o swéj mądrości kowalskiéj trzymający, wzrósł wielce w pychę, i zaufał sobie. I żeby każdy wiedział, jaki to on mądry w swojéj sztuce, kazał przed kuźnią na tyce, wystawić wielką tablicę, a na tablicy podróżny malarz wymalował mu ogromny szyld, na którym wyobrażoną była kuźnia: sam majster stał w pośrodku, a w około niego wszystko mu się kłaniało, i gwoździe, i podkowy, i młoty, i kowadła, i miechy, i czeladź cała, Polacy, różni Niemcy, a pod spodem napisano złocistemi literami: „Matjasek, wielki majster nad majstrami, przychodźcie wszyscy i uczcie się od niego mądrości kowalskiéj."

Owóż zdarzyło się, że pewnego czasu, zajechał przed kuźnię pewien rycerz. — Zbroję miał na sobie całą od złota i srebra, przyłbicę spuszczoną, a koń pod nim biały bez żadnéj odmiany, ale teżto cudo, nie koń. Nóżki, karczek, łeb, wszystko jak utoczone. — A taka fantazja była w tem zwierzęciu, że zdawałoby się, że jeno mu tylko wyskoczyć ze skóry, chociaż widno, znał rękę rycerza, i dał mu się we wszystkiem jak należy powodować.

Więc rycerz ów zsiadł z konia, i zastukał żelazcem od włóczni w krążek mosiężny, zawieszony tuż pod szyldem. Był to znak, żeby zaraz kto wyszedł, bo jest potrzeba jakaś.

I wyszedł sam Matjasek, bo wyjrzawszy zprzed sklepu, i zobaczywszy złocistą zbroję rycerza, i czerwoną kitę na hełmie, i konia z tak ognistą fantazyą, poznał on odrazu, że to nie lada gość, i że trzeba mu będzie najlepszym usłużyć towarem.

A jak skoro wyszedł Matjasek, rycerz ukazał mu konia, któremu u tylnego kopyta brakło podkowy, co mu była w drodze odpadła.— Więc Matjasek zbliżył się do konia, żeby go obejrzeć i wziąć mu miarę na podkowę, ale lichać tam przystąpić do niego, kiedy za każdym razem koń, niby jaka dzika bestya, zżymał się i parskał i wierzgał nogami, tak, że niepodobieństwo było Matjaskowi nic z nim poradzić.

Majster popróbował jeszcze parę razy, aż nareszcie mruknął pod nosem, machnął ręką, i zawołał do kuźni.

—A chodźta no Jurku i Kuba! a weźcie z sobą powrozy, trzeba przywiązać to licho do pieńków przede drzwiami, bo tu widzę inaczéj z nim nie uradzi.

I dwóch czeladzi z powrozami ukazali się na progu kuźni.

A rycerz ów, który jakoś z uśmiechem patrzył na to wszystko, widząc, że już nie na żarty myślą się koło konia zabierać, zapytał:

—A dlaczego ty chcesz wiązać mojego konia?

—A juścić, proszę waszéj wielmożności, trzeba obejrzeć kopyto, i wziąć miarę na podkowę, odrzekł Matjasek, a wasza wielmożność sam widzi, że ta uparta bestya nie da ani przystąpić do siebie.

Rycerz pokiwał głową.

—Oj, majster ty majster, rzekł, chwalisz się, że masz sławę i zachowanie w swojem rzemiośle, a nie wiesz, jak koniowi brać miarę na podkowę.—I po co takie różności malować, i sztyftować takie napisy, mówił daléj, pokazując na szyld, kiedy się marnéj rzeczy nie potrafi dokonać?— Ot patrz jeno, jak się to robi.

I to mówiąc zbliżył się do konia, wziął go za nogę, a koń stał jak trusia i ani drgnął z miejsca.

— Łatwo to waszéj wielmożności mówić, mruczał Matjasek pod nosem, obcierając kopyto, ale przecież i ja człek nie dzisiejszy, i nie pierwszyna mnie taka robota, a jeszcze tak narowistego bydlęcia, jako żywo na oczy nie widziałem.— Z waszą wielmożnością on obyły jakoś, ale ja cudzy człowiek, a on widno cudzych ludzi nie lubi.

—Poprawdzie tak jest, odrzekł rycerz, ale kto się tak chwali ze swojego majsterstwa, powinien umieć trafić w setno każdemu koniowi.—No, ale kiedyś już obejrzał kopyto, jak sam chciałeś, to spiesz że się z robotą, bo mi pilno.

Matjasek wrócił do kuźni, wybrał najlepszą sztabę, włożył do ognia, zadął miechem, że aż żelazo do białości się rozpaliło, wziął ostrożnie w cęgi, wyjął z żaru, położył na kowadle, przyciął, jak przynależy i zaczął klepać z wielką pilnością.

Nie uszło pół godziny, a już podkowa leżała gotowa i ochłodzona, Matjasek podjął ją z ziemi, wziął ostrożnie w palce, zważył na ręku, obejrzał jeszcze, czy gładko obrobiona, i czy nie ma żadnego feleru, poprobował na tę i ową stronę, aż zadowolony z roboty, wyszedł z nią na dwór.

A rycerz tymczasem, przechadzał się prze-

dedrzwiami kuźni, brząkając koncerzem i gwizdając niecierpliwie przez zęby.

—A co, czy już skończone? zapytał.

—Już, odrzekł Matjasek, pokazując mu podkowę, ale jak to będzie z przybiciem, bo ja z przeproszeniem waszéj wielmożności, nie mam ochoty kopytem w łeb dostać?

—No, już ja go potrzymam, rzekł rycerz, biorąc konia za nogę, ale co to? widzę twoja robota panie majstrze na licho się przydała, bo podkowa nie pasuje wcale, gdzież jéj brzegi, a gdzie kopyto? trzeba drugą zrobić; widzę, żem się dobrze udał, no, ale cóż czynić, tylko pospieszcie z robotą.

—Tfu! czy wciurności nadali, mruczał Matjasek, powracając do kuźni z odrzuconą podkową; czy mnie bies jaki oślepił? A dyć to on ma prawdę, i cała robota nic potem.

Ale przecież teraz powinienem utrafić, bom doskonale wymierzył.

I jeszcze usilniéj, niż przedtem zabrał się do roboty.

Ale mu jakoś nie szło, i widno napisano było, że się Matjaskowi żadna podkowa dla białego konia nie uda.— Zrobił ze dwie albo trzy, ale każdéj coś brakło: jedna była za wielka, druga zamała, inna nareszcie taka słaba, że jak się zabierał do przybijania jéj, pękła mu w palcach, i kawałki ze złości odrzucił na ziemię.

—A to utrapienie Boże, rzekł opuszczając ręce, już sam nie wiem, jak sobie począć, chyba ktoś na mnie urok rzucił.

—Oj! nie urok to, powiedział rycerz, ale nieumiejętność twoja, żeś człek ciemny w swojem rzemiośle, i nie wiesz nawet, jaki jest najlepszy sposób dopasowania koniowi podkowy.

—A ciekawym, jak mnie wasza wielmożność nauczysz tego sposobu, zapytał hardo Matjasek, bo ja z niejednego pieca chleb jadłem, i w niejednéj kuźni klepałem na kowadle, a przecież robię tak, jak pan Bóg przykazał, i jak nasza reguła kowalska uczy.

— Ja nie wiem, jak tam uczy wasza reguła, rzekł rycerz, ale u porządnych majstrów to się tak robi.

To mówiąc, zbliżył się do kulbaki, wyjął ze skórzanéj pochwy toporek stalowy u kuli zawieszony, zamierzył się, ciął, i noga odjęta koniowi u kolana jak raz upadła na ziemię, a biały stał prosto na trzech nogach, ani się pochylił, tylko krew z okaleczonéj tak srogo nogi, czerwoną strugą tryskała na ziemię.

Matjasek patrzał na to wszystko jak osłupiały.

Rycerz podjął obciętą nogę z kopytem, i wszedł z nią do kuźni.

Matjasek poszedł za nim.

Rycerz sam wybrał sztabę żelazną, włożył ją w węgle, kazał chłopcu miechem dmuchać, potem rozpaloną sztabę wyjął z węgli, położył na kowadle, i zaczął obrabiać młotem.

Kiedy już żelazo zaczynało nabierać formę podkowy, rycerz położył na kowadle ową końską nogę, przypasował do niéj podkowę, przybił, a ona przystawała tak, że nigdzie nie było najmniejszéj szczeliny, najmniejszéj nierówności.

Matjasek i cała czeladź, która przez ten czas porzuciła swoję robotę, przypatrywali się temu z najwyższym podziwem, prawie jak skamieniali, a kiedy rycerz wyszedł z gotową już podkową, wszyscy ruszyli za nim, żeby zobaczyć, jak on zaradzi z przyprawieniem koniowi uciętéj nogi?

A koń przez ten czas stał jak najspokojniéj, nie przywiązany nawet, tylko krew ciągle ciekła z rany.

Rycerz zbliżył się do niego, przystawił uciętą nogę do kolana, wnet jedno spoiło się z drugiem, krew przestała płynąć, i koń zarżał radośnie, podrygając na czterech nogach, jak gdyby nigdy nic, a po przecięciu ani śladu nawet nie było.

—Widzisz tedy, rzekł rycerz, obracając się do Matiaska, który patrzył, nie wierząc swoim oczom, jak to trzeba umieć przypasować koniom podkowy; teraz więc pamiętaj, żebyś już nie robił na fuszerkę, tylko jak porządny majster, którym udajesz, że jesteś. — A za to, co ci się zmarnowało, ot masz zapłatę,

I to mówiąc, rzucił Matjaskowi sztukę złota, wsiadł na konia, i ruszył tęgim kłusem.

Matjasek stał na miejscu jak wryty, bo mu się to w głowie jakoś pomieścić nie mogło.—Wróciwszy jednak do kuźni, obiecał sobie, że za pierwszym razem, sprobuje téj praktyki rycerza, bo się dokładnie wszystkiemu przypatrzył i zdawało mu się, że już potrafi tym nowym sposobem podkowy koniom przybijać.

Nie minęło dwóch godzin, aż tu nowy rycerz przyjechał przed kuźnię, i zażądał podkowy.

Matjasek nic nie mówiąc, zabrał swój najostrzejszy topór, i zanim nowy rycerz obejrzał się a koń mógł się spodziewać co go czeka; machnął nim po swojemu, i noga gładko obcięta przy kolanie padła na ziemię. Koń jęknął z boleści,

pochylił się i upadł, a krew żygnęła strumieniem.

Nie zwracając na to uwagi Matjasek, porwał obciętą nogę, i zabierał się z nią iść do kuźni.

—A ty rozbójniku! co ty robisz! zawołał rycerz porywając go za kołniérz od kapoty, czyś oszalał, zabijasz mi najlepszego konia, ja ciebie zaduszę na miejscu.

—Niech wasza wielmożność będzie spokojnym, odpowiedział Matjasek z najzimniejszą krwią, starając się wydostać z rąk rycerza, to jest nowy sposób kucia koni, mnie samemu wiadomy, to bardzo robotę ułatwia, a podkowa będzie pasowała jak ulana.

—Co ty pleciesz łotrze? przecież widzisz, że koń zdycha, czy ty mu potrafisz nogę zwrócić? — Ja ci łeb o twoje kowadło rozbiję.

— Ale proszę waszéj wielmożności, przecież ja kowal z kowalów, i nie robilbym nic tak na wiatr.— I podkowa będzie przybita i rana się zagoi, i koń będzie zdrów. —Wtem właśnie mój sekret, tylko cierpliwości trochę.

Matjasek prawił to z taką pewnością siebie, i uśmiechającą miną, że rycerz pomyślał w sobie: „A nuż on ma jakiś sekret, przecież zdaje się, że nie od rzeczy gada, a ci ludzie prości, to oni zawsze mają jakieś swoje uroki.“

Popatrzył się trochę to na konia tarzającego się we krwi, to na Matjaska spoglądającego nań z uśmiechem, i trzymającego w ręku nogę odciętą, pomyślał chwilę, nareszcie puścił kowala, którego przez cały ten czas trzymał za kapotę, i rzekł:

—No zobaczymy, idź waść do roboty, ale jeżeli mi koń nie będzie zdrów i okuty w prędkim czasie, to się na sucho z rąk moich nie wydostaniesz.

Matjasek nie dał sobie dwa razy powiedzieć. Poszedł do kuźni i począł majstrować tak, jak widział u tamtego rycerza. — A wszystko udało mu się wyśmienicie, podkowa przystała dowodnie do kopyta, i nie dziwota, bo można było przymierzać na kowadle. Powbijał więc gwoździe, gdzie przynależało, przypatrzył się raz jeszcze czy nic nie brakuje, i wyszedł z kuźni w zamiarze dokończenia roboty, i przyprawienia napowrót koniowi nogi, jak to u tamtego widział.

A biedne zwierzę ledwo zipało, krew wprawdzie zaschnęła już prawie u rany, ale koń leżał na boku, i tylko od czasu do czasu drgał konwulsyjnie, a rycerz stał nad nim z osmutniałą twarzą.

Matjasek zbliżył się do konia i przyłożył odeszłą nogę do rany, ale gdzie tam, ani weź, i chwytnąć nawet nie chciało.— Owszem kiedy Matjasek wszelkich sił dokładał, żeby kolano spoić, koń zaprzestał zupełnie ruszać się, widno zdechł na prawdę.

To widząc rycerz, porwał się do Matjaska.

—A ty podły chamie! zawołał, także to mię zdurzyć chciałeś. — Poczekaj już nie będziesz szkodził drugim, i pastwił się nad niewinnemi zwierzętami.

A to mówiąc, wyjął z pochew zakrzywioną szablę i zamierzył się nią na Matjaska, który nad trupem konia stał nieruchomy jak drewno.

Wtem zatętniało na drodze, i ukazał się przed nimi ów rycerz na białym koniu, który w sam czas przytrzymał rękę drugiemu rycerzowi, bo byłoby się stało to z głową Matjaska, co on z nogą końską zrobił. Potem zsiadł z białego, przystawił do rany owe pół nogi, i nagle trup koński się poruszył, kopnął się raz i drugi na ziemi, nareszcie porwał się na nogi, i jak gdyby nigdy nic nie było, zarżał radośnie, żując wędzidło niby w gotowości do drogi.

A wonczas pierwszy rycerz ozwał się do Matjaska w te słowa:

—Widzisz człeku! jaki to nizki twój rozum i głupia nauka.— Wiedz, że ja jestem święty Marcin.—Mnie pan Jezus umyślnie tu zesłał, żebym cię ukarał za twoję pychę, i przekonał cię, że nietylko nie jesteś majstrem nad majstrami, ale że cała twoja mądrość kowalska, w którą tak dmiesz, jest niczem. Pan Bóg jeno jest doskonale mądrym, a wszyscy ludzie winni się przed Nim korzyć i uznawać, że wszystko mają z Jego łaski, a bez téj łaski niczego im dostąpić i z niczego puszyć się niewolno.

I to powiedziawszy, znikł.

A Matjasek pomodliwszy się Panu Bogu, i pożałowawszy grzechów, kazał zdjąć szyld ów z tyki, i od tego czasu skromnie, jak przynależy pełnił swoje rzemiosło, nie nadymając się już ze sprawności w rzeczach ludzkich, która tak małą jest zasługą przed Panem.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 15 (27) sierpnia 1856 r.— Starszy cenzor. *F. Sobieszczański.*